

LEON GOZLAN.

Historia o stu trzydziestu kobietach

n)

Kto tylko odbywał morskie podróże na zwykłym okręcie, wie dobrze o tem, że podczas kiedy jedna połowa załogi okrętowej zasypia, druga połowa musi czuwać na pomoście. Te godziny czynności i spoczynku na równie są podzielone części, cztery godziny trzeba koniecznie czuwać, zaś znów cztery godziny spać można. Ostatnia kolej tego czuwania nocnego nazywa się *Djanną*. Skąd to pogańskie nazwisko, niewiadomo, ale majkowie nigdy inaczej tej warty nie nazywają. Podczas *Djanny* rodziła się między nich kawa i wódka, jest to więc najspokojniejsza chwila do rozprowadzania wszystkich historii, których niezliczona masa krąży pomiędzy nimi. Nie trzeba także zapominać, że podczas *Djanny* następuje wschód słońca i dzieje rozpędzając cienie nocne, ożywia i rozjaśnia wszystkie przedmioty i twory. A więc majkowie milczący aż do chwili ukazania się słońca, zgromadzają się wówczas w kółko, około jakiegoś Homera okrętowego, który ubiegłe pamiętki różnobarwnej przeszłości malowniczo ożywia przed nimi.

Okręt kupiecki pod nazwiskiem *Kokietka z Ajaccio*, w którym przeprawiałem się z Tuluonu do Messyny, posiadał w tonie swoim oprócz najlepszego z kapitanów *Giacomo Perfumo*, jednego z tych niezmordowanych opowiadaczy, którzy umieją tak zająć i rozerwać zbyt częste nudy majków i pasażerów. Ktoż nie znał majstra Gandolfa? czegoż on nie dokazał przez te czterdzieści lat, podczas których żeglował na morzu Śródziemnym, oceanie Atlantyckim, oceanie Spokojnym, morzu Indyjskim, Chłińskim i Lodowatym. Majster Gandolf polował na śledzie i wieloryby, wojował w Egipcie, Hiszpanii i Indjach, był w niewoli angielskiej, utracił w różnych bitwach oko i kilka palców u ręki, ale mówiono, że najznakomitszym jego czynem było udawanie przez kilka lat niemego na pontonach w Plymouth, inaczej bowiem nie byłby mógł uzyskać wolności. Przez całe pięć lat słowa marnego nie wyrzekł, ale też potem umiał on za to odbić się za swoje.

Chociaż ozdobiony zaszczytnym tytułem *majstra*, był on jednakże prostym majkiem tylko, ale jego wiek i doświadczenie nadawały mu prawo do tego tytułu. Zresztą chociażby go nazywano kapitanem, nie przydałoby to mu wcale dumy. Gandolf wierzył, że najpiękniejszy tytuł, to tytuł majka, bo to był najpiękniejszy stan podług niego, bo morze było dla niego ozdoba stworzenia. Ocean był jego przeszłością, teraźniejszością, przyszłością, przyjacielem, rodziną. Morze też stało się i grobem dla niego. Niech śpi spokojnie na swoim miękkim łożu piasku koralów i zielska podmorskiego, jeżeli Neptun powołał go do siebie, Neptun, jedyny z bogów, którego on uznawał!

Pewnej więc nocy, podczas *Djanny*, majster Gandolf zgromadził swoich słuchaczy około siebie, żeby im odpowiedzieć historyje, której malowniczy sposób opowiadania napróżnoby pióro moje starało się naśladować. Wyznałem, że nie zawsze z należytą uwagą przysłuchiwałem się tym wszystkim opowiadaniom. Nie wielką bowiem przywiązując zazwyczaj wiarę do prawdziwości tych pocziwych marynarzy. Ale tym razem zaledwie majster Gandolf parę słów wyrzekł tylko, zaraz coś mnie pociągnęło do niego i nakazało słuchać jego historii. Dotykał bowiem fakt, mającego bliską styczność z prawdziwym współczesnym, a którego opis zdarzyło mi się już czytać poprzednio.

On zaś był uczestnikiem tego wydarzenia i rozbudzał we mnie różne wspomnienia. Po dwudziestu pięciu czy trzydziestu latach majster Gandolf rozpowiadał jako świadek naoczny, sprawę, której protokół miałem być w moim ręku. Pozwoliłem mu jednak mówić, przyrzekając sobie w duchu porównać jego opowiadanie z książkami angielskimi i francuskimi, mówiącami o tym wypadku, które najspokojniej na mnie w domu czekały. Nie wyrzekł on przecie ani słowa, któreby nie było rzeczywistą prawdą. Tem więc powieści mojej są te wspomnienia opowiadań okrętowych majstra Gandolfa, które ja odżywiłem w mojej pamięci i obiekty, pu-

szczam w świat uporządkowane tylko i porównane z prawdą.

Będzie zapewne tym obrazom brakowało okrętu, który je kołysze i nadaje im, że tak powiem, życia, nieba, które je tęczą okala laworową, morza i wiatrów, które były dla nich echem wielkiem i nieskończonym, i tych prostych słuchaczy, których dusze i serca wyłącznie tylko opowiadaniem i opowiadającym były zajęte, będzie im brakowało okrętu, którego cień wielki odbija się na falach morskich, okrętu, który jest widownią, widzem i aktorem nawet, jeżeli się na nim morską rozpowiada scenę.

Będę się przynajmniej starał zostawić temu opowiadaniu jego żywość i prostotę i wolność dialogu, w której majster Gandolf naśladował Platona, Sokratesa, Lucjana, Senekę i Montaigne'a, nie znając ich wcale. Prawdą, przedstawiona nago, nie przestaje być prawdą.

Majtkowie „Kokietki z Ajaccio” mówili:

— Rozpowiedz nam twoją historię, majstrze Gandolf.

— Dobrze przynajmniej, że ja nazywacie historię, bo to rzecz najprawdziwsza w świecie. Było to 1815 roku 15 Lutego.

— Musiało dyabelnie zimno być na świecie.

— Ba, przejeżdżaliśmy właśnie przez południk, wracaliśmy z Chandernagore, a jechaliśmy do Brestu.

— To musiało być dyabelnie gorąco. Mówią, że kiedy się jest na linii południowej, to postrzymawszy tylko w ręku jajko przez chwilę, może się najwyborniej ugotować.

— I ręka także.

— Jungo cicho, mów dalej majstrze Gandolf, słuchamy cię.

— Tej nocy wiatr był wściekły, zanosilo się jakoś na burzę. Ponieważ w tych stronach okręty, które jadą do Indji i wracają stamtąd, często spotykają się z sobą, a że każde takie spotkanie w nocy bardzo niebezpieczne, postanowiono mnie na warcie na tyle okrętu, żebym dał znać, jeżeli się jakiś okręt będzie zbliżał do nas. Mogli byli z tym samym skutkiem na spód okrętu mnie wpakować, bo było tak ciemno dookoła, że człowiek własnego nosa by nie zobaczył. Zdawało się, że piękna Arsenja, takie było imię statku, płynęła po morzu kawowem.

A zresztą deszcz lał jak z cebra; morze wydęło się, jak wielka ropucha, moja czajka ważyła 500 funtów, a nie mogłem odjąć nóg od pomostu, jak gdybym ołowiane buty miał na nich. Woda ciekła ze mnie ciurkiem. Wylupiałem oczy jak gąły, ale gdzie tam, ani na krok nic dojrzeć przed sobą.

Mogła być północ sama, nagle ni z tego ni z owego, zostałem rzucony o jakie 15 czy 16 kroków w tył na pomost, a tył okrętu zanurzył się w wodę tak ostro, że nim się podniosłem, jużem był wypity z beczkę wody słonej. Upadłem pomiędzy różnymi rzeczami, które upadały; maszty, liny, dragi, baryłki, ludzie, wszystko się staczało jedno na drugie, z takim hałasem, jękami i przekleństwami, że strach było słyszeć.

Chwilę trwało to tylko, ale przez tę jedną chwilę mogłem odgadnąć przyczynę tej niespodzianki. Powodem tego było uderzenie innego statku, który nie widząc nas, zetknął się z nami niespodzianie. W kilku minutach „piękna Arsenja”, okręt nasz zbudowany w Breście, a bryg piękny i okazały jak panienka, który mógł bez wstydzenia przy dobrym wietrze robić dziesięć mil drogi na godzinę, strzaskała się jak kawał spruchniałego drzewa, chwiała się jeszcze przez chwilę i dała nurka w tą wielką faliżankę, z której każdy z nas pójdzie pić przedź, jeżeli taka będzie wola Pana Boga, i świętych patronów naszych.

Podajcie no mi tytoniu.

— Jakto? to już opowiadanie skończone? — zapytał się Junga.

— Jakiś głupi, chcesz, żeby to już był koniec, przeciesz widzisz majstra Gandolfa przed sobą. Gdyby utopił się, nie mógłby...

— Cicho — zawołał cieśla okrętowy. — Ma głos majster Gandolf, a my otwierajmy uszy, jak dziury od armat. Cóż dalej majstrze Gandolf?

— Nigdy nie mogę zrozumieć, żebym sobie łamał, nadłamał głowę i suszył mózg Bóg wie jak długo, jakim sposobem z katastrofy, gdzie wszystko zgineło, bydła i ludzie, drzewo i żelazo, żagle i liny, że ani dymu, ani popiołu nie zostało się po tym okręcie, przed chwilą tak pięknym i licznie zamieszkanym, ja jedynie ocalałem, ja sam z dwudziestu pięciu osady i trzy-

dziestu trzech pasażerów, i to nie wiedzieć jakim sposobem znalazłem się na okręcie, którego spotkanie z nami stało się przyczyną naszego nieszczęścia.

— To się jednak zdarza czasami majstrze Gandolf.

— Zapewne, że się musi zdarzać, kiedy widzicie mnie tutaj.

— A cóż to był za okręt.

— Angielski.

— Jakby naumyślnie, na złość tobie majstrze Gandolf.

— Tak, to była wielka gabara angielska. Ale o tem potem, a teraz dość wam będzie wiedzieć, że jak otworzyłem oczy i otrząsłem się trochę, choć to łatwo mówić otrząsłem się, kiedy Bogiem a prawdą ruszyć się nie mogłem, byłem bowiem tak potłuczony i przygnieciony, że przez trzy dni potem do siebie przyjść nie mogłem, zdało mi się, że jestem w goście u starego Neptuna tego patrona topielców. Miałem ogromną ilość żagli, lin i płótna ceratowego na rękach, na nogach, na piersiach, na całym ciele, i czulem jak po mnie chodzono. Przez chwilę zdało mi się że jestem w brzuchu wieloryba. Ale wracając do przytomności pomiarowałem wkrótce, że muszę się znajdować na jakimś okręcie.

— Ale nic nie miałeś stłuczonego.

— Nic. oprócz mojej fajki gipsowej, bo ci Anglicy to nawet żalując człowieka, muszą mu szkodę wyrządzić.

— No no, majstrze Gandolf, to już przeszło, teraz nie masz przecie do czynienia z Anglikami.

— Z Anglikami zawsze jest do czynienia. Widzę to dobrze, żeście jeszcze strasznie młodzi, o! żebyście byli w skórze ojców waszych... Wystawcie sobie... ale nie, wy nie możecie sobie tego wystawić. Oni wszyscy radowali, mają zęby długie, a paznokcie czarne i ostre... chleb nazywają bread a nie jedzą go wcale... pocóż go mają u diabła? jedynie tylko, żeby nam zrobić na przekór.

— A jednak majstrze Gandolf, gdyby nie Anglicy, nie żyłbyś już może.

— To wolałbym zginać, niż być ocalonym przez tych Anglików, dobranoc — już nic nie powiem dalej.

To mówiąc Gandolf zapiał spencer, nasunął czapkę na uszy i został nieruchomy jak posąg marmurowy, chociaż krew się burzyła w nim wściekłością na Anglików.

— Długoż nas tak zostawisz w oczekiwaniu majstrze Gandolf, przecież my nie Anglicy... no...

— Już nic nie powiem, odrzekł majster Gandolf, rozcierając na proch pomiędzy zębami gipsowy cybuszek.

— Przyznaj się że straciłeś pamięć...

— Ja straciłem pamięć, ja który nie zapomniałem nazwiska żadnego z tych łajdaków, ja który każde ich słowo pamiętam, bo na nieszczęście umiem mówić ich psim językiem; dość drogo opłaciłem tę naukę; pięć lat przebyć na pontonach, to nie zła szkoła, przekonacie się zaraz, czy pamięć straciłem.

Miłość własna majstra Gandolfa złapała się w sidła zęcznie nastawione na nią, to też mówił dalej zapaliwszy drugą fajkę:

— Leżąc więc przywalony temi wszystkimi sprzętami usłyszałem te słowa po cichu w angielskim języku wymówione:

— Czy to ty Ascott?

I odpowiedziano przytłumionym głosem:

— Tak, to ja Carterze.

— Czyś się widział z naszymi ludźmi?

— Tak.

— Wieluż ich było?

— Tylu ilu sam mi wyznaczyłeś.

— Dwunastu.

— Tak dwunastu, najęźsi, Hermen, Green, Harrison, Horsley, Lindsay, Richards, Samuel, Chapman, Greufel, Tajlor.

— To są rzeczywiście najdzielniejsi pomiędzy całą osadą Niagary. Serca stalowe, żelazne dłonie, ale reszta?

— Reszta pójdzie za przykładem wodzów, czyś już zadowolony?

— Ascocie...

— Co?

— Czy porucznik Tompson nie zwraca przypadkiem na nas w tej chwili uwagi.

(Dalszy ciąg nastąpi).